

Chocholi tan.

Tak wyszło, że spędziłem ostatnio kilka godzin w stolicy. Ho, ho, nie w naszej Warszawie, poniosło mnie do stolicy zjednoczonej Europy, a co? Pewnie wyczyn żaden dla wielu osób, niespecjalnie też i mnie intrygujący, ale troszkę wolnego czasu, troszkę chęci, więc skorzystałem z okazji.

Generalnie trafiłem na wiosenne porządki. Jeszcze nie tak dawno temu świat był czysty, pobielony, skryty pierzynką śniegu, teraz wyłazi jednak to, co skryte było - taka kolej rzeczy. Nie mam też wątpliwości co do tego, czy jesteśmy większymi śmieciarzami, bo to nie prawda, więc nie ubliżajmy sobie tak bardzo bezkrytycznie zapatrując się w nowy, zachodni ład.

Czyści się więc różne miejsca i osobiście trafiłem, np., na czyszczenie... atomu. Niemożliwe? Za mały? A jednak będę upierał się przy swoim, nawet [zdjęcie](#) na potwierdzenie słów mogę przedstawić. Sąsiadujący, tragiczny kiedyś Heizel, też do porządku doprowadzany, reperowany, uzupełniany. Dalej dwóch panów w mundurach właśnie otwierało bramę wjazdową na piękną, wielką posesję, w głębi której stoi pałac z powiewającą nad nim flagą państwową (?). Na otwarcie czekała ciężarówka z logo znanego browaru - w końcu Król i jego goście też mogą sobie łyknąć czasami jasne z pianką.

Jak na razie sielsko - anielsko, prawda? Więc dalej Plac Schumana, Komisja Europejska, Parlament Uniiiiiiiiiiii...i skąd ci żebracy? Co prawda już nie owrzedzeni i w łachmanach, ale jacyś tacy, przeważnie, ciemniejsi i włączający na ciebie ze swoimi skrzypkami i harmoniami, nachalni. Niekoniecznie trzeba być bardzo spostrzegawczym, żeby widzieć, kto potrzebuje, a komu tak wygodniej. *Skoro już tu jestem, to obejrzę może, jak tam żyją nasi wybrańcy?* He, he, nie dla psa kiełbasa, nie dla kota spyрка, a marmury i szkło nie dla ciebie. Wazelina potrzebna była w czerwcu ubiegłego roku, a teraz to ...! Ludzie wchodzą i wychodzą, przeważnie zorganizowane watahy, ale mnie wyłowiono skutecznie już za samo posiadanie chęci, widocznie. To tak, za moje podatki? Żebym chociaż kufiję nosił, żeby bombę przy mnie znaleźli, niech chociaż by siatkówkę oka zeskanowali, zrozumiałbym.... Sięgnąłem po aparat, zdjęcie pstryknąć ku pamięci i...*Monsieur!* ...policyjny palec skierowany nagannie na tablicę zabraniającą fotografowania. *Cie choroba...* jak zwykły mawiać w chwilach rozterki mój pradziadek. Kamery, mnóstwo kamer wszędzie: w drzwiach, na ścianach, na latarniach (w kloszach zamiast żarówek), pod szczytami budynków, obserwujących każdy centymetr terenu, dublujących się, setki ich. Czego lęka się elita polityczna Europy? Przecież przed wyborami tak nas kochali, tak pchali się między nas przy każdej okazji. Pandemia jakiejś choroby została ogłoszona, a ja nic o tym nie wiem? No, bo chyba tych kilku chłopców jeżdżących na swoich deskorolkach i grupa zdyscyplinowanych skośnookich turystów-emerytów nie stanowi wielkiego zagrożenia? A może podejmowanie uchwał o tym, że marchewka jest owocem a ślimak rybą, wymusza zastosowania takich środków bezpieczeństwa?

Wydaje nam się, że czasy proroków, wizjonerów, to zamierzczłe dzieje, a ich słowa są czymś nawet nie zawsze logicznym, wartym uwagi. Czy aby na pewno? Okazuje się, że kilkadziesiąt lat temu, więc starsi z nas mogą pamiętać rzecz z *natury*, żył i tworzył człowiek, który całkiem precyzyjnie opisał to, co spotyka folwarczne (no, bo chyba tak?) owieczki.

A.